

Stanisław Sławiecki

Księżniczka

Idylla.

1

Adam pozalałwiał jeszcze ostatnie sprawunki, spakował swe rzeczy do nowej walizy i pojechał. W pociągu, kilka kwadransów wydało mu się miśsiacem. Był swym nagłym wyjazdem nieco podniecony. Jechał po raz pierwszy w życiu na „guwernerkę”. Oddawna słyszał, że tego rodzaju korepetycja nie należy do rzeczy najmilszych wogóle, a jeszcze gorzej, jeśli się trafi na niezbyt miłe stosunki. Trzeba znieść niejedną przykrość, niejedno gorzkie słowo posłyszeć, a odpowiedź zamilczeć...

Dla chleba.

Tego się najwięcej obawiał. Był ogromnie wrażliwym i w obejściu z wszystkimi będąc bardzo uprzejmym, tego samego domagał się w odniesieniu do własnej osoby. Był naturą hardą, nie znoślił, aby ktokolwiek dawał mu odczuć, że jest jego dobrodziejem, że jest na jego łaskawym chlebie. Wolał pracować ciężko, ponad siły, aby być niezależnym i mieć to wewnętrzne przekonanie, że to, do czego doszedł, to owoc ciężkiej pracy i własnych trudów.

W Granicy oczekiwał go wolant w parę zaprzężony koni. Dworski woźnica ułożył w tyle powozu jego bagaż, następnie rozpiął nad wolantem ceratowe nakrycie od deszczu i ruszyli.

Na deszcz się zanosito. Czarne chmury całkowicie pokryły nieboskłon i lada chwila groziły ulewą. Ta niepewna pogoda do pewnego stopnia popsua Adamowi niezły dotąd humor.

— Pięknie! — pomyślał — sześć godzin w ceratowej budzie... śliczna perspektywa!

Jakby na żart z jego poważnych rozmyślań zaczęło grzmieć i deszcz lunął. Woda rzeką płynęła z chmur i z siłą wpijała się w ziemię — grzmot jeden za drugim przerywał monotony szum spadającego deszczu, jego uderzeń w ziemię i ceratowe nakrycie wolanta.

W jednej chwili droga zmieniła się w koryto powyżłabiane w najrozmaitszych kierunkach, którem, niby rzeka, płynęły masy wody. Powietrze gwałtownie się oziębiło i grad dużymi ziarnami jął bić w nieszczęsny pojazd.

Droga stawała się coraz gorszą. Konie zmoczone, zmęczone straszną wichurą, zwalniały. Sytuacja jadących stawała się z każdą chwilą przykrejszą. Przez ceratową osłonę poczęła się woda z początku sączyć kroplami, potem coraz większymi strugami zlewała siedzenie i jadącego. Adam wciągnął pospiesznie na letnią zarzutkę płaszcz podróżny, ale i to nie na długo pomogło. Był przemoczony do ostatniej nitki. Zimny dreszcz wstrząsał nim od czasu do czasu, nasuwając mu wspomnienia niedawno przeżytych przykrych chwil.

Z początku irytował się, wymyślał na cały świat i porządek ziemski — w pewnej chwili chciał nawet kazać woźnicy zawracać, ale beznadziejność sytuacji odebrała mu resztę energii. Z rezygnacją oparł się o przemoczone oparcie i zamknął oczy. Zaczął poddawać się losowi.

Chwilami zdawało mu się, że płynie łodzią po spienionej, mętnej rzece — że nurt jej porywa go coraz silniej i silniej — chce się bronić, wyteża siły, opadają go. Ogląda się za pomocą, szuka oczyma jakiejś spokojnej, cichej przystani — nie ma jej... Musi więc dalej płynąć wśród tej mętnej fali... ale z nią walczy, mociuje się... lecz nie widzi końca... sam jeden, sam jeden...

Żeby choć przy nim kto usiadł u steru, sił mu, otuchy dodał. Jednej bratniej duszy... — szepcze — bez echa...

Tylko brudne fale szumią i szumią... a rwa... To życie!

Deszcz zaś nie ustawał ani na chwilę. Grzmoty, przerywane od czasu do czasu błyskami i ogłuszającym hukami piorunów, towarzyszyły ulewie bez przerwy.

Zaczęło to Adama doprowadzać do rozpacz. Zimno stawało się — w przemoczonej odzieży — nie do zniesienia.

W pewnej chwili podniósł się z siedzenia i, wychyliwszy głowę z pod ceratowej budy, zaczął pytać woźnicę:

— Czy my tak bez końca pojedziemy po tej ulewie? — krzyczał przytem głośno, chcąc, ażeby woźnica cokolwiek wśród burzy zrozumiał.

Woźnica przechylił się w tył, wylewając na Adama z swego ceratowego płaszcza i kapelusza strugę wody.

— Jeszcze z pół godziny do karczmy, tam konie rozstawne.

Adam, złany wodą, mruknawszy coś z irytacji, pospiesznie cofnął się z powrotem pod nakrycie. Dostał istnej febry i był przekonany, że się przeziębiał. Na szczęście na polach cichło. Grzmoty, coraz rzadsze, słabły, a wicher, czasem tylko żałośnie wyjąc, przemykał.

Za chwilę zrobiło się cicho, tylko słychać było szum płynącej wzdłuż gościńca, wody. Niebo zaczęło się wyjaśniać, weselej było.

Konie ruszyły raźniej i niezadługo wjechały w podwórze zajazdu. Adam wyskoczył pospiesznie z powozika i wszedł do karczmy. Pusto tu było, a brudno. Za szynkasem, po którym kot z flegmą spacerował, siedziała mała żydówka. Na widok wchodzącego, nie ruszyła się, ani nie zmieniła pozycji, tylko oczy szerzej otworzyła i bacznie przyjrzała się przybyszowi. Za chwilę chłopak dworski wniósł kosz z wiktuałami, porozkładał wszystko na serwiecie, nastawił samowar i zapadł gdzieś w kącie, a za chwilę słychać już było chrapanie śpiącego.

Adam był również umęczony. Przedewszystkiem pragnął się pozbyć mokrej odzieży, kazał więc wnieść swoją walizę i, wyjąwszy świeże ubranie, przebrał się w nie. Tymczasem woda ugotowała się, więc sporządził herbatę i, nic nie jedząc, zabrał się do niej. Dwie szklanki szybko się opróżniły i Adam już trzecią rozpoczynał, gdy woźnica, wchodząc do izby, dał mu znać, że konie gotowe. Zaspany chłopak pobierał z powrotem wszystko do kosza i usadowił się na koźle.

Adam zostawił żydówkę suty napiwek i, zapaliwszy papierosa, wsiadł do powozu. Jazda była teraz o wiele przyjemniejszą. Wypogodziło się zupełnie i Adam mógł zachwycać się piękną okolicą. Jechał zapatrzone w kołyszące się łany zbóż, perlami szklące z nieociekłej jeszcze wody deszczowej. Rzadko w swej drodze napotykali wsi, częściej duże, gęste lasy. Żywiczna, aromatyczna woń unosiła się wokół i owiewała jadące dziecię miasta, a on wchłaniał ją z jakąś dziwną radością, dawno już dawno nie zaznaną.

Nagle na skraju lasu dojrzał śliczną sarenkę. Stała chwilę, cudnie poważna i swe mądre, duże, smutne oczy utkwiała gdzieś w dali. Adam stanął, klasnął jak dziecię z radości w dłonie i... sarna zniknęła w gąszczu; tylko listki chwiejące się borówczanego krzewu świadczyły, że przed chwilę stało tam cudne stworzenie.

Czemuż uciekła? — myśli mu się nasunęła — czy wszystko, co piękne i czyste, tak stroni odemnie?

Nie bądź sentymentalno-naiwnym — odszepnął mu drwiąco rozsądek — zestraszyles ją, więc uciekła, nie nawykła do miejskich zaleceń mieszkanka lasu.

Konie zwolniły, ciągnąc zaprzęg pod górę i w chwilę potem znaleźli się na szczycie wzniesienia i stąd powóz łagodną pochyłością jął się staczać w dolinę.

Śliczny stąd roztaczał się widok. Między dwoma długimi łańcuchami dość wysokich pagórków i wzniesień, lasami porośłych, dolina się wila soczysto-żółtą barwą, odcinając się od ciemno zielonej plamy lasów. A na dnie niewielka rzeczka swe wody srebrzyste toczyła... Nad nią domostwa porozrzucone bieleły się swymi niskimi ścianami na tem tle zielonem.

Co za prześliczna gra barw! — myślał zachwycony Adam, oczu nie mogąc oderwać od tej w ciszy spoczywającej doliny.

W tej chwili odwrócił się woźnica i biczyskiem wskazał Adamowi dwór w Zbylitowie.

— Więc to tutaj Zbylitów? — spytał uradowany Adam.

— Tak panie!

— Śliczna miejscowość... śliczna miejscowość — powtarzał bez przerwy.

Dwór miał piękne położenie. W połowie przeciwległego wzgórza wznosił się okazały wielkością, a ujmujący swą prostotą. Był jednopiętrowy, symetrycznie zbudowany ze staropolskim gankiem w pośrodku i kolumnadą. Do dworu prowadziła długa na kilkadziesiąt metrów aleja lipowa.

— To jest nasza rodzinna estetyka! — pomyślał z dumą Adam i w myśli porównywał ten w swej prostocie prześliczny dwór z tą tandetą wiedeńską i pruską, której się tak skwapliwie uczepiliśmy.

Właśnie wjechali w lipową aleję i za kilka minut stanęli w podwórzu pałacu. Na spotkanie przybywającego wyszedł jakiś jegomość szpakowaty, średniego wzrostu, w wysokich butach, w którym domyślił się Adam rządca.

Uchylił kapelusza i przedstawił mu się.

— Jestem Adam Drzemirski, student filozofii.

— Wiem, wiem, mój panie... z Krakowa, z Krakowa, bardzo się cieszę, bardzo... bo sobie człek przypomniał swoje młode lata... byłem i ja w krakowskiej aka-

demii.. Rafał Klimowicz — i silnie uściśnął prawicę Adama. — Ale się pan umęczył drogą? He... he... bo to pan pewnie nigdy w życiu taki szmat drogi koniami... te, tego... co?

— Trochę jestem rzeczywiście zmęczony drogą, ale...

— Nic to, wyśpi się pan wygodnie, jak Bóg przykazał i... te... tego, jutro zdrow, jak ryba. Będzie pan spał, jak suszał... kazałem panu przygotować pokój w willi... te, tego... to jest, widzi pan, ten domek parterowy w ogrodzie. Tam zaraz pójdziemy... I wolno poszli w ogród.

Ogród był ogromny, zastawiony w naturalnym stanie, bez żadnych angielskich szpalerów, wodotrysków; przed samym tylko dworem był mniejszy ogródek kwiatowy.

Domek, w którym miał Adam zamieszkać, bardzo sympatycznie czynił wrażenie. Były w nim dwa pokoje — jeden większy o trzech oknach, drugi znacznie mniejszy, o dwóch.

— Teraz waćpan może wybierać, który się panu więcej podoba, oba są wolne.

— Prosiłbym o ten mniejszy — rzekł Adam.

— I ja tak myślałem, że się ten lepiej nadaje i w nim kazałem poczynić pewne przygotowania.

Pokój był kwadratowy; w dwóch sąsiadujących ze sobą ścianach miał duże weneckie okna, przysłonięte białymi firankami. Przy jednym z okien stało niewielkie biurko, a obok mała etażerka z książkami. Kilkanaście ich było.

— Moja córka to powybierała z biblioteki, nie wiem nawet, czy się tam co znajdzie dla pana — mówił pan Rafał, rozsiadłszy się w jednym z foteli.

— Tak? Bardzo jestem wdzięczny, lubię czytać wieczorami. Przywiódłem też sporo swoich książek.

— Pewnie nowości! To się moja Zosia ucieszy, bo ona za lekturą przepada, a u nas tak trudno o nowe książki.

— Chętnie będę służył mojemu.

— Nie mogę jej, panie, te... tego... wybić tej poezji z głowy... strasznie to romantyczne. Nawet nie wiem, po kim się to... to takie zrodziło. Ja, jak byłem młody, to łatwiej mi przyszło szablisko w garść złapać... niejedną tam te... tego nosi na łbie po mnie pamiątkę!

— Zmieniły się, panie, czasy i warunki. Zresztą natura... temperament...

— Tak, panie, ten... tego, ale wy teraz, to tylko w niebo patrzycie, na księżyc z ukradkiem spoglądacie, a po ziemi zapominacie chodzić — dowodził pan Rafał, wpadając widocznie w ulubiony temat gawędy.

Ale Adam, zmęczony, rzadko odpowiadał, rozkładając z walizy przywiezione rzeczy.

Widocznie to zauważył i pan Rafał; wstał z fotelu, a wychodząc, zaprosił Adama do siebie na kolację, ale ten się wymówił zmęczeniem.

Obudził go po nocy śliczny, uśmiechnięty ranek. Zapach skoszonej, schnącej trawy wpadał z ogrodu przez okna i mieszał się z delikatną wonią róż karmionowych, ustawionych w kloszu na stoliku. Z ogrodu, z wiosnianą falą powietrza wpadał wesoły świergot ptactwa, a za nim z dali dolatywały wesołe śmiechy. Dziecięce głosy drżały pustotą i taką swobodną beztroską, że Adamowi mimowolnie twarz się wypogodziła, a usta złożyły do uśmiechu.

Wokół niego od życia i szczęścia kipiało.

Na rozwartym oknie usiadł wróbel, malutkim łebkiem pociesznie kręcąc, świergotał, a raz wraz do do pokoju zaglądał. Jeszcze raz i drugi przechylił główkę i lekko zleciał na posadzkę pokoju. Rozglądając się uważnie wokół, a nie znajdując nic podejrzanego, z całą swobodą jął uganiać po pokoju. Z podłogi skoczył na biurko, potem na stolik, na którym stały róże, zaświergotał wesoło i na łóżku się znalazł. Adam nie mógł się wstrzymać od śmiechu.

Uczuł nieprzepartą chęć złapania w swe ręce tego kipiącego życiem stworzenia i wypieszczenia go. Uniósł się szybko z posłania, wyciągnął momentalnie ręce, lecz ptaszę, zwinne jak strzała, zemknęło do ogrodu.

Śmiechy w ogrodzie nie ustawały, coraz zbliżając się do „willi”.

Słońce zaczynało już na dobre dogrzewać, musiało być dosyć późno. Adam wyskoczył z łóżka i wesoło pogwizdując ubierał się. Zaledwie ukończył porządkowanie swej garderoby, gdy do drzwi ktoś silnie zapukał. Pan Klimowicz przyszedł go zbudzić.

(Ciąg dalszy nastąpi.)